

Kto popłynie teraz?

Na zachód marsz

Wielka feta na Placu Zamkowym w Warszawie z udziałem prezydenta USA Billa Clintona mogła stworzyć wrażenie, że Polska osiągnęła swój największy strategiczny cel. Tymczasem na drodze naszego kraju do NATO leży jeszcze wiele kłód, i to bardzo ciężkich do podniesienia.

Bezsilność

Katastrofalna powódź, która nawiedziła w lipcu południowo-zachodnią Polskę wykazała całkowitą bezsilność agend państwa. Nie wszystkie samorzady w obliczu klęski stanęły na wysokości zadania. Tylko obywatele zdali „egzamin z kryzysu” na medal.

UWAGA!

Leksykon polskiego samorządu (patrz str. 7)

RAPORT:

Pieniądze na inwestycje



**Bogdan Zdrojewski:
Można było zrobić więcej**

Bohater pozytywny

Z Prezydentem Wrocławia, Bogdanem Zdrojewskim, rozmawia Piotr Ceran

- Panie Prezydencie, woda okrutnie doświadczyła Wrocław. Pan był chyba najbardziej widoczną i najbardziej pozytywnie postrzeganą osobą w mieście podczas najtrudniejszych godzin. Czy czuje się Pan bohaterem?

- Nie. Sądzę, że odbiór mojej osoby wynika z faktu nieopuszczenia nie tyle miejsca pracy, ale osób, na których spoczął ciężar wykonywania bardzo wielu obowiązków. Dotyczy to w równej mierze mieszkańców, jak i instytucji, które zabezpieczały majątek.

- Zdziwił Pan wiedzą o sytuacji każdej dzielnicy, ulicy, wręcz domu. Jak Pan to robił, że był Pan wszędzie, na wałach, w centrum miasta, na podwrocławskich osiedlach, w studiu telewizyjnym?

- Myślę, że jest to technika pracy. W czasie powodzi, kiedy zawiodła łączność, trzeba było szukać: po pierwsze - najlepszych źródeł informacji, po drugie - przemieszczać w tym czasie i utrzymywać bezpośredni kontakt z najbardziej newralgicznymi punktami. Ten kontakt musiał być naprawdę ciągły - nie można było ani spać, ani zbyt długo przebywać w jednym miejscu. Trzeba było wszędzie dotrzeć, dokładnie zobaczyć, ciągle weryfikować informacje. To było najważniejsze.

- Czy był moment, że Pan się bał?

- W nocy z soboty na niedzielę (z 12 na 13.07). Wracalem z innego newralgicznego punktu i dowiedziałem się, że na wieść o dużej fali, która właśnie nadchodzi, ściągnięto wszystkich ludzi z zażytkowego Ostrowa Tumskiego. Z moich informacji wynikało zaś, że właśnie osiągnęliśmy stan maksymalny, i to, co trzeba zrobić w tym momen-

cie, to tylko utrzymać pozycje. Przyjechałem na Ostrów Tumski i rzeczywiście na wałach nie było prawie nikogo. Znaczna część osób stała od strony placu Bema, a wały właśnie zaczęły przeciekać. Był to najgorszy moment.

- W tych dniach zapadło mnóstwo ważnych decyzji. Która z nich najbardziej Panu utknęła w pamięci, która była najważniejsza?

- Było ich naprawdę dużo. Na trzy dni przed powodzią największe ryzyko wiązało się z zakupem worków i ich gromadzeniem w czasie, kiedy powszechnie nie postrzegano jeszcze skali zagrożenia. Obawiałem się wówczas, że moje działania są za wielkie w stosunku do prognoz, czy aby nie przesadzam. Drugą była decyzja o telefonowaniu do mediów, na Uniwersytet i Ostrów Tumski z uprzedzeniem o skali zagrożenia i ewentualnych zniszczeń. Ta decyzja wynikała częściowo z intuicji, częściowo zaś z mojej wiedzy.

- A czy są decyzje, które chętnie by Pan cofnął lub o których chciałby Pan zapomnieć?

- Nie wiem, czy takie będę najlepiej pamiętał. Największym zaskoczeniem, wręcz szokiem był fakt, że zwiolił utworzyć sobie drogę na południe Wrocławia, a nie poszedł w kierunku północnym. Przynajmniej taka ewentualność była brana pod uwagę przez ekspertów. Nie wiem, czy mogę mieć do kogokolwiek żal, że tego nie uwzględniliśmy. Jeśli chodzi o odwołanie decyzji, to był taki moment. Patrząc na mapę wzniesień Wrocławia i wszystkie elementy decydujące o możliwości obrony miasta, decyzja o umieszczeniu sztabu operacyjnego, który od razu powinien znaleźć się w innym miejscu. Później go przeniosłem, ale należało to zrobić wcześniej.

- Jak Pan ocenia rolę środków przekazu podczas akcji ratunkowej?

- Nie ulega żadnej wątpliwości, że była to rola pozytywna. Media w znaczący sposób decydowały, do jakiego stopnia można zmobilizować mieszkańców. Były trzy główne elementy motywacyjne: działalność środków masowego przekazu, obrona własnego mienia i rozmieszczenie worków z piachem.

- W bieżących relacjach pojawiały się jednak często informacje błędne, niepotrzebnie potęgujące strach i zagrożenie.

- Nie było łączności i niezwykle trudno było weryfikować wiele doniesień. Ludzie dzwoniący do radia i telewizji mieli bardzo subiektywny ogląd sytuacji. Niepotrzebnie potęgowali zagrożenia, bywało także, że je lekceważyli. Od czasu do czasu pojawiał się interes własny, który objawiał się w eskalacji żądań różnego rodzaju dóbr materialnych - począwszy od worków z piaskiem po napoje. Ujawnił się także element rywalizacji. Chęć przekazania jak największej ilości wiadomości powodowała przekazywanie części informacji nieprawdziwych. Jest to zupełnie naturalne i nie należy za to w żaden sposób winić mediów. W trzecim i czwartym dniu zauważyłem nawet, że część osób dzwoniła tylko po to, by usłyszeć na antenie swoje własne apele. No i oczywiście brak centralnego ośrodka informacji, który wszystkie wieści mógł zbierać i weryfikować.

- Panie Prezydencie, jak Pan ocenia współpracę z administracją rządową?

- Należy podzielić ją na kilka etapów. Ten do powodzi uważam za zły. Prezydent Wrocławia nie wie precyzyj-

nie, co się tak naprawdę dzieje w Opolu, Nysie i zbiornikach retencyjnych. Sytuację znałem tylko z relacji telewizyjnych i kontaktów prywatnych. W tym czasie system przekazywania informacji rządowych był wadliwy. Drugi etap to czas tuż przed gwałtownym przybojem wody. W tym okresie też nie było najlepiej. Czasu zostawało coraz mniej, moja niecierpliwość rosła w ogromnym tempie, a funkcjonowa-

ły były wynikiem wzięcia przez niego całej odpowiedzialności za katastrofę na siebie. Dotyczy to zarówno okresu, kiedy go we Wrocławiu nie było, jak i dni, w których przebywał w mieście. Ten etap do zakończenia pierwszej fali był wyraźnie lepszy. Znakomita była natomiast współpraca w ostatnim okresie – inwentaryzacja stanu popowodziowego i przygotowanie do ochrony wałów na normalny przyrost wody.

foto. Mieczysław Michalak



Prezydent Wrocławia, Bogdan Zdrojewski, był duszą akcji przeciwpowodziowej w mieście.

nie struktur państwa było zastraszające wolne. Potem była powódź. Uważam, że ten etap nie poddaje się łatwej ocenie. Żywił był tak ogromny, że naprawdę nie do opanowania. Ktoś, kto sądzi, że sprawnymi strukturami państwa można było uniknąć wdarcia się wody do Wrocławia, nie zdaje sobie sprawy, co za masa wody do nas przybyła. Była to bowiem powódź, jakiej Wrocław nie widział od tysiąca lat. Należało się liczyć z faktem, że paraliż niektórych służb będzie naturalnym efektem, że muszą one zostać dotknięte skalą powodzi. Problem jednak tkwi w czym innym, w tempie radzenia sobie i wychodzenia z tej sytuacji. I to jest właściwy element, który może podlegać ocenie. Potem był już następny etap walki z powodzią, czas kiedy z zagranicy wrócił wojewoda Janusz Zaleski. Uważam, że opinie, jakie go w tym momencie dotknę-

Do tej normalnej wody mogliśmy się już przygotować w sposób uporządkowany i tak się stało.

– Skala zagrożenia była ogromna. Czy w tej sytuacji nie odczuwał Pan skrzepowania zbyt małymi kompetencjami?

– Nie same kompetencje – ale przede wszystkim posiadanie środków materialnych i wpływ na sposób ich rozdysponowania – decydują o skuteczności działania. Uważam, że rzeczywiście jest tak, że samorząd terytorialny obciążono w ostatnich latach wieloma zadaniami i odpowiedzialnością. W ślad za tym nie poszło jednak wyposażenie ani w środki finansowe, ani materialne. To podstawowy błąd, który zemścił się w tej wyjątkowej dla wszystkich sytuacji. Samorząd dostaje szkoły, służbę zdrowia, przejmuje część odpowiedzialności za ochronę przeciwpowodzi-

dziową, ale nie posiada kompletnie żadnych środków finansowych i nie jest właścicielem tego, co powinien ochraniać. To absurd, który sprowadza się do zepchnięcia odpowiedzialności bez wyposażenia w odpowiednio sprawne instrumenty. Według mnie jest to katastrofa.

– Jak Pan ocenia sprawność instytucji samorządowych podczas powodzi?

– Na pewno nie mogły się sprawdzić w stu procentach. Mogły się sprawdzić tylko w tym zakresie odpowiedzialności, który były w stanie samodzielnie udźwignąć. Sądzę jednak, że oceny te mogą być także radykalnie negatywne, zwłaszcza formułowane przez osoby i instytucje dotknięte powodzią bezpośrednio. Ilość środków była bowiem nieproporcjonalna do teoretycznych możliwości samorządów. Jestem po pierwszym etapie analizy działań instytucji samorządowych. Organizacja pomocy, zadania ewakuacyjne i szybka inwentaryzacja problemów – to funkcjonowało. Sądzę jednak, że można było zrobić więcej, gdyby samorzady były wyposażone w środki materialne, bo finansowe mogą pojawić się później.

– Zniszczenia są ogromne. Część z nich nie daje się nawet jeszcze oszacować. Kiedy możemy oczekiwać, że uda się odrobić straty?

– Sądzę, że aby dojść do stanu sprzed powodzi, Wrocław potrzebuje 2-3 lat. Wydaje się, że taka cezura czasowa może być złudna, bo według mnie w czasie 3-4 miesięcy można miasto doprowadzić – może poza enklawami największych zniszczeń – do stanu, w którym będzie funkcjonowało w miarę normalnie. Tak jakby niemal nic się nie stało. Ważne jest jednak, by efekt ten uzyskać. Nie wyobrażam sobie, że we wrześniu lub październiku Wrocław będzie funkcjonował jak miasto popowodziowe. Owszem, kilka osiedli będzie jeszcze odczuwać następstwa powodzi. Nie wyobrażam sobie jednak, aby jakkolwiek syndrom popowodziowy był widoczny w centrum miasta, Wrocław musi natychmiast odzyskać kondycję, a mieszkańcy na bazie swego sukcesu – ich wspaniała postawa w tym trudnym okresie była bowiem wielkim sukcesem – odzyskać pogodę ducha.